

Świat pułapka

Lekcja przetrwania

Alan Akab



RW2010

ALAN AKAB
ŚWIAT PUŁAPKA
LEKCJA PRZETRWANIA

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2015

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Alan Akab 2015

Okładka Copyright © Dalia Żmuda-Trzebiatowska

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-142-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Spis treści

Część I. Lekcja przetrwania	4
Część II. Kwestia zaufania	89
Część III. Magia życia	253
Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:.....	349

Część I. Lekcja przetrwania

Wszystko gdzieś się zaczyna. Nie inaczej rzecz się ma z moją podróżą. Ludzie zwykłe chcą słuchać o jej środku, o tym, co już słyszeli – o krwi Krwawych Wysp, wyprawie ku Czarnej Pustyni, zjednoczeniu Stepów, obronie Korieselu i oblężeniu Lannaanu, o cytadeli w chmurach, o Mrocznych Pielgrzymach. Niektórzy pytają o Wojnę Dwóch Braci, ale ledwie kilku zaciekało, jak to się zaczęło. Ludzie wolą słuchać o rzeczach wielkich, zapominając, że po drodze do nich człowiek musi przejść przez kilka mało znanych ścieżek.

Dla większości to Historia. Dla mnie to tylko przeszłość. Wszystko się kiedyś skończy, nawet Czas, a co dopiero człowiek. Nie zmieni tego ani magia Świata, ani technologia z gwiazd. Dziś jestem tylko cieniem Nordona Elinarona, Człowieka z Gór. Posiadam jego pamięć oraz doświadczenie, choć czas sprawił, iż nabrałem dystansu i pogodziłem się z losem. Jakże potrzebowałem tych cech za młodu... Starość ma ich aż nadto. Jakby upływ lat nie dość obciążał ducha... Jeśli na Świecie istnieje jakaś prawdziwa niesprawiedliwość, jeśli jest ona czymś więcej niż przypadkiem, to tylko taka.

Wybrano mnie jako dziecko do czegoś, co przekraczało moje zrozumienie. Straciłem lata, idąc niewłaściwą drogą, szukając nie tego, co powinienem znaleźć, błędząc... Było kilku przede mną, będzie wielu po mnie. Ilu pojmie, że ich dążenia to ledwie możliwość, która nie zaistnieje bez wyboru właściwej drogi?

Więc jeszcze raz. Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Tak samo ludzki los. Pierwsze uderzenie serca, pierwszy oddech, pierwsze słowo... Pierwszy raz, gdy unosisz broń, by zakończyć podróż innej żywej istoty. Dlatego zacznę od początku, może nie życia, lecz pamięci. Nic nie przyszło mi bez trudu i taka, być może, okaże się ta opowieść – niełatwa. Ale też nie chcę niczego ułatwiać, jeśli idzie o roz-

rywkę lub zabawę. Powiem, co mam do powiedzenia, na mój sposób, a gdy idzie o zanudzanie, wiek rządzi się swoimi prawami.

Jeśliś cierpliwy, doczekasz opowieści, które ludzie zwą ważnymi. Przed każdą rzeczą wielką zawsze stoją rzeczy małe, każda lawina zaczyna się od kamyka. Oto historia jednego z nich – pewnego naiwnego chłopca, który zbyt szybko nauczył się, że nawet najlepsi kiedyś muszą odejść, a na koniec pozostajemy sam na sam ze sobą i swoimi czynami.

Pamiętam, była zima. To moje najdawniejsze wspomnienie. Inne odeszły, tak wiele zim... Prosta góralska chata w jednej z dolin Gór Granicznych, na wschód od Cesarstwa, gdzieś za Pogórzem. Wesele brata zaplanowano tradycyjnie na przesilenie. Wokół zamieszanie, radość, także moja. Tyle się działo, tyle rzadkich przysmaków... I nieznajomy wędrowiec w kapturze. Nie pamiętam, kiedy wszedł. Czułem, że on nie z tych, co szukają okazji, by się pożywić i starym weselnym zwyczajem wyciągnąć rękę po garść miedziaków od szczęśliwych nowożeńców...

Krzątający się wokół ludzie, pomagający mojej rodzinie w przygotowaniach, nie zwracali uwagi na kolejnego gościa, ale ja czułem, że chodzi o mnie. Wędrowiec często spoglądał na mnie ukradkiem. Nie wiem skąd, ale zawsze czułem, kiedy to robił. Twarz przesłaniał mu kaptur, więc nie mogłem być pewien, ale wydawało mi się, że moja reakcja go cieszyła. Nosił na szyi duży talizman, który zawsze trzymał na wierzchu. Amulet miał postać dwugłowego smoka o splecionych, jakby w walce, szyjach.

– Podoba ci się? – zagadnął w końcu. Kiwnąłem głową. – To symbol Prawdziwej Równowagi. Zapamiętaj go.

– Nie ma smoków z dwiema głowami – zauważyłem, udając, że nic mnie to nie obchodzi.

– Jako mówiłem, to mądry dzieciak – rzekł ojciec, patrząc na przybysza.

– Tak, zaiste – odparł tamten i odwrócił się do mnie. – Skąd wiesz, że nie ma?

– No... wiem i już! – Wzruszyłem ramionami.

– Kiś przybysz musiał mu rzec – przyznał ojciec. – Co nie trzeba, zapamiętuje jak należy.

– Obyż to można było tak wierzyć temu, co mówią ludzie...

Ojciec wyprowadził nieznajomego do składziku. Cicho o czymś rozmawiali. Podglądając przez niedomknięte drzwi, dostrzegłem, jak coś przeszło z rąk do rąk – dziś nie jestem już pewien w którą stronę... Wędrowiec spojrzał na mnie, jakby wiedział od początku, że bacznie go obserwuję.

– Nie bój się, mały – powiedział i przestałem się bać. – Będę twoim nauczycielem.

Nie wiedziałem, że ojciec po kryjomu przyszykował mnie do podróży. Przygotowany zawczasu bagaż leżał ukryty pod sianem, w oborze. Para koni czekała, uwiązana nieopodal. Wędrowiec wsadził mnie na siodło. Odjechaliśmy bez pożegnań. Nikt mi nie powiedział, że na zawsze.

Miałem dziewięć czy dziesięć lat.

Pierwszy raz byłem w siodle i to doświadczenie bardzo szybko mi się spodobało. Do tego dnia może ze trzy razy w życiu widziałem konia na własne oczy. Wśród górskich wiosek to zwierzę jest tylko zbytkiem. Nie przeczę, dobrze radzi sobie na Szlaku i jego odnogach. Drogi tam dobre, to i kurierzy mogą pędzić ile sił w kopytach ich wierzchowców. Jednak w wysokich górach, a już pod Barrierami... Nie dość, że takie zwierzę nie zje byle czego – lubi siano, ale najczęściej żre ziarna sagrosu, choć na jego liście kręci pyskiem – to jeszcze zapada na przeróżne choroby. Starczy zimą popędzić go do galopu, a zaczyna dyszeć. Wierzchowce nie mają płuc do wysokogórskiego powietrza. Wszak przodkami wszystkich koni na Świecie są jelenie, a te wolą

stepy i cesarskie równiny. Zamiast nich w górskich lasach żyją sarny i kozice, zaś w gospodarstwach królują pegreny. Od czego pochodziły, nie wiedział nikt, w tej części świata nie znano podobnych zwierząt. Ani nie było roślin podobnych do sagrosu, choć tylko on daje się uprawiać na skalistej ziemi. Duże pegreny, ciężkie i powolne, silne i wytrzymałe, potrafią o siebie zadbać; jedzą prawie wszystko, dają mleko i można je strzyc na wełnę. Równie dobrze ciągną pług, jak wozy, za to nie nadają się do jazdy wierzchem – z powodu swego uporu oraz braku woli współpracy z czymkolwiek, co siedzi im na grzbiecie. Nawet uprząż noszą inną niż konie. Wierzchowców zaś używano tylko dlatego, że było to lepsze od pieszej podróży, nawet jeśli nie wszędzie da się dojechać.

W skrócie: koń jest ładny, ale niepraktyczny. Kup go sobie, jakżeś wielki pan. Tak przynajmniej mówiono w mojej wiosce.

Nie do końca okazało się to prawdą.

Wierzchowce Mistrza, mimo smukłej i lekkiej budowy, były zwinne i odporne na trudy podróży. Duże uszy i delikatne, przycięte poroże świadczyły, jak się później dowiedziałem, o stepowym rodowodzie. Ich rasa była chowana pod lekką jazdę, do nagłego ataku i równie pośpiesznej ucieczki – typowym stylu prowadzenia wojen na bezkresnych, trawiastych równinach. Hodowano je także z myślą o wysokich, śnieżnych przełęczach niebotycznych Barrier, gdzie powietrze jest rzadkie i mroźne, a przez które podobne im, choć bardziej krępe zwierzęta ciągnęły załadowane wozy, bok w bok z pegrenami, lub wiozły hordy orków, na zgubę mieszkańcom Gór.

Dlaczego o tym wspominam? Bo to nie były cesarskie konie, o których gadali lekceważąco górscy chłopci. Bo to wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że to, co mówią w wioskach, nie jest świętą prawdą. Bo rumak, prawdziwy rumak, na którym jechałem, był zaczątkiem szczeliny w otwierającej się przede mną furtce na świat.

Podróż była długa. Wokół nic, tylko jedna śnieżna dolina za drugą. Wędrowiec milczał. Co rusz o coś go pytałem, lecz nie odpowiadał.

Przejażdżka zaczęła mnie nudzić. Zrazu przyjemna, wkrótce zmieniła się w niekończącą niewygodę. Pośladki i krzyż jęły dawać o sobie znać.

– Mozem się zatrzymać? – spytałem.

Nie odpowiedział.

– Boli mni...

Nie zwrócił uwagi, jakby mnie nie było!

– Kiej wrócim?

Wciąż nic.

– Dzie jedziem?

Znów milczenie.

– Kimżeś jest?

To samo. Rozzłościłem się. Ktoś traktujący ludzi w ten sposób nie zasługiwał, w moim mniemaniu, na szacunek. Po jaką strzygę mnie ze sobą zabrał?

– Rzekłeś, że bedziesz mnie uczyć! Jak ci mówić... panie? – Ostatnie słowo wydusiłem wbrew sobie.

Nawet na mnie nie spojrzał.

– To dobrze! Nie chcesz, to nie! Będę cię zwał umilkłym mistrzem! – zawołałem gniewnie.

– Mistrz może być – odpowiedział nagle. Zastygłem. – Milczenie to twoja pierwsza lekcja.

– Lekcja czego? Złych manier? – rozsierzdziłem się, tak jak potrafią tylko dzieci.

– Braku cierpliwości.

Umilkłem na dobre.

Przez rok żyliśmy w samotności, w niewielkiej chatce, ukryci w jednej z dolin. Mistrz sumiennie wypełniał obietnicę. Opowieść o jego lekcjach zajęłaby cały wieczór. Śpieszył się, czułem to, ale był systematyczny. Najwięcej uwagi poświęcał lekcjom walki mieczem, posługiwania się łukiem oraz opatrywaniu ran, zwłaszcza z pomocą ziół. Pod jego kierunkiem wyuczyłem się natury zwierząt i sztuki rozpoznawania języków odległych krain.

Nigdy później nie nauczyłem się tak wiele w tak krótkim czasie. Przypuszczam że Mistrz w jakiś sposób wspomógł moją pamięć i zdolności. Wszelką nabytą wiedzę i umiejętności musiałem, pod jego czujnym okiem, wykorzystać do przetrwania; samemu wymyślić zastosowanie, jeśli nie było ono oczywiste. Okazywało się, po mniejszym lub większym wysiłku z mojej strony, że wszystko może się przydać. Swą stanowczością i surowością doprowadzał mnie do wybuchów wściekłości. Jego intencje zrozumiałem znacznie później – nie chciał, bym dał się zabić w kilka dziesiędnic, nie po tym, jak poświęcił mi rok swojego życia. W dzień powtarzaliśmy pchnięcia i odskoki, toczyliśmy udawane walki, zaś wieczorem, gdy opadałem z sił, zamiast odpoczynku czekało mnie powtarzanie Mistrzowi tego, czego się nauczyłem, tego dnia lub dziesiędnice wcześniej. Przyznaję, nie raz i nie dwa przeżyłem później raczej dzięki przypadkowi, lecz jego naukom zawdzięczam więcej niż łaskawości losu.

Z początku tęskniłem za rodzicami. Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że nie zobaczę ich przez bardzo długi czas, być może nigdy... Lecz Mistrz postarał się, by mordercze treningi nie pozostawiły czasu na żale.

Dziesiędnice zdawały mi się miesiącami; miesiące księżyca z kolei ciągnęły się niczym sezony. Czasem w nocy, przed snem, bo tylko wtedy miałem na to czas, przeklinałem Mistrza. Nie wiem kiedy po raz pierwszy pomyślałem, że mój nauczyciel nie pozwoli mi wrócić. Obrazy domu i rodziny blakły coraz bardziej, aż stały się jedynie przygodnymi przeblyskami. W końcu odeszły także i one. Naturalna kolej rze-

czy czy magia? Zabrakło mi czasu na wspomnianie, a może była to sprawka Mistrza? Nie wiem do dziś. Tak barwnie opisywał świat, że zacząłem marzyć, by zobaczyć tyle co on. Znał mnie lepiej niż ja sam. Wiedział, że nie byłem z tych, co spędzają życie na pracy wokół chaty i pola. Odgadł moje marzenia, nim zacząłem je mieć, a może je zaszczepił? Czy miał rację? Czy bez jego pomocy także opuściłbym kiedyś wioskę, kilka lat później, lecz bez potrzebnej mi wiedzy i umiejętności?

Wielu młodzieńców wyruszało przed siebie, wielu nigdy nie wracało.

Ja przeżyłem.

Mistrz szybko oduczył mnie pytać o cel nauki. Raz jeden rzekł, że kiedyś sam wszystko zrozumie. Od tego czasu, ilekroć o tym wspomniałem, zaczynał przepytawać mnie z dawnych lekcji. Zrozumiałem. Zacząłem być cierpliwy.

Pewnego późnojesiennego dnia po prostu zniknął. Obudziłem się, a jego już nie było. Koni też. Nie był to pierwszy raz. Mistrz czasem odjeżdżał bez uprzedzenia po zaopatrzenie. Zostawiał wtedy wiadomość, napisaną na uklepanej ziemi, o tym, czym miałem się zająć, lub podawał temat do przemyślenia. Tym razem wiadomość brzmiała: „Skrywaj swe wady równie starannie jak przewagi”. Nie za bardzo wiedziałem, co przez to rozumieć. Usiadłem i zacząłem powtarzać w pamięci wczorajsze lekcje. Wiedziałem, że gdy wróci, zacznie się przepytywanie. Potem ćwiczyłem. Zapadł wieczór. Przygotowałem posiłek i usnąłem.

Dopiero trzeciego dnia pomyślałem, że tym razem może być inaczej. Że tym razem Mistrz nie wróci.

Miałem rację.

Niewiele zostawił mi na drogę: o wiele za dużą wtedy na mnie kolczugę, z dziwnego metalu o połowę lżejszego od stali; wzmocniony magią jednoręczny miecz, który przez kolejne lata służył mi za dwuręczny; zimowe futro; własnoręcznie zrobiony jakiś czas temu pod jego okiem krótki łuk wraz z sajdakiem oraz garść

strzał. Dobrze pamiętałem poprzednią zimę, gdy tu przybyliśmy. Sam nie dałbym sobie rady. Musiałem dotrzeć do jakiejś osady, nieważne ludzkiej czy krasnoludzkiej.

Wierzę, że nieoczekiwanym odejściem Mistrz chciał mnie przygotować na to, że w życiu rzeczy dzieją się nagle. Czulem, że kiedyś się spotkamy, że wszystko miało cel. Ale jaki? Kiedy znów go zobaczę i w jakich okolicznościach?

Wtedy nawet on nie mógł tego wiedzieć.

Kupiec z cesarskiego miasta, imperialny żołnierz czy dziki ork ze stepów rzadko kiedy mogą powiedzieć: oto dziś nastała zima. I nie mówię tu o astronomach, którzy obserwując ruch słońca, oświadczają, że oto nastąpiło przesilenie czy równonoc, i tego dnia zaczęła się nowa pora roku. Na tym opiera się ludzki kalendarz, a nie życie w najwyższych górach Świata. Mówię o dniu, w którym zmienia się rytm życia. Wszędzie indziej zima nadciąga powoli. Dni stają się chłodniejsze, słońce wschodzi coraz później, zachodzi coraz wcześniej. Ziemia powoli zamarza, aż wreszcie pojawia się pierwszy, drobny śnieg.

Wszędzie, tylko nie w Górach Granicznych.

Tu pani krótkich nocy przychodzi z dnia na dzień, gnana potężnymi uderzeniami mroźnego zachodniego wiatru i długotrwałej śnieżycy. Gdy inne krainy Południa od dziesiędnicy śpią pod białą, puchową kołdrą, w Górach zniecierpliwiony żywioł dopiero zaczyna zaprowadzać nowy porządek. Góry Graniczne zawsze opierają się najdłużej, tak armiom, jak i przyrodzie.

Gdy półtorej dziesiędnicy później przemierzałem kolejną dolinę, wszystko wokół okrywała już gruba warstwa śniegu. Padał bez ustanku od kilku dni. Ślady moich stóp były jedynymi na przestrzeni wielu stajañ. Zwierzęta dawno pouciekały do kryjówek, dobrze wiedząc, co się święci. Lecący z nieba puch był tak gęsty, że – choć

znajdowałem się w lesie – ledwie dostrzegałem drzewa stojące nie dalej niż parę sięgów ode mnie.

Koło południa po raz pierwszy przerzedziło się na tyle, że mogłem przyjrzeć się okolicy. Nieświadomie zmierzałem ku jakiejś przełęczy. Wiatr tak mocno pchał mnie do przodu, że nawet nie wiedziałem, iż idę pod górę! Teraz osłabł, lecz wciąż przylepiał nowe płatki śniegu do futra na plecach. Chłodna, wilgotna, biała masa okrywała mnie od głowy do stóp. Wciskała się wszędzie, gdzie tylko mogła, do butów, rękawów, oczu i nosa, by stopnieć, kosztem ciepła mojej skóry. Gotów byłem posadzać ją o złośliwą inteligencję.

Przełęcz gęsto porastały drzewa, jednak w linii, jaką tworzyły ich korony, dostrzegłem wąską, głęboką wyrwę. Droga, pomyślałem. Musi prowadzić do jakiejś osady. Skierowałem się tam pełen obaw, że po drugiej stronie ujrzę jedynie kolejną przełęcz, a za nią jeszcze jedną, jak dziesiędnicę temu.

Tym razem miałem więcej szczęścia. Gdy stanąłem na najwyższym punkcie skalnego siodła, ujrzałem niedużą dolinę. Dobrze tu widoczna droga zaraz za przełęczą zakręcała w prawo, znikając za poprószonego śniegiem drzewami. Las niskich i rozłożystych sosen oraz świerków – typowych dla gór – wspinał się łagodnymi zboczami, by zatrzymać u stóp otaczających dolinę wysokich, stromych i masywnych szczytów. Gdybym ujrzał coś takiego z okna dobrze nagrzanej chaty, na pewno pomyślałbym: „Jakże piękna i majestatyczna potrafi być zima w górach”. Niestety, nie miałem ani dachu nad głową, ani zydła pod sobą, o piecu nie wspominając. Byłem zziębnięty i strudzony wędrownikiem. W takich warunkach tylko szczękający zębami elf mógłby zachwycać się naturą, zamiast myśleć o przemarzniętych stopach, ale ta rasa już tak ma. Dla mnie liczyło się tylko to, że gdzieś tam znajdę schronienie: jaskinię, kopalnię, chatę, gospodę, wioskę, cokolwiek.

Zszedłem z przełęczy. Wiatr prawie zamarł; białe płatki opadały swobodnie z ołowianego nieba. Jakże spokojne zdawały się żywioły po drugiej stronie! Tak długo już brnąłem przez sięgający kolan śnieg, z wysiłkiem wyciągając stopy z puchowej pułapki, tylko po to, by krok dalej zapaść się w nią ponownie i zacząć wszystko od nowa...

Musiałem odpocząć.

Wiem, to było głupie. Kto zatrzymywał się w zimie na odpoczynek, bez ognia u boku, najczęściej już nie wstawał. Lecz słuchanie przestróg to jedno, a odczuwanie tego na własnej skórze to drugie. Pragnienie, by się zatrzymać, przymknąć oczy choć na moment, potrafi zmóc dorosłego, a co dopiero dziecko.

Przy drodze obok zaspasy ujrzałem zwalone drzewo. Cóż za siła nieczysta, jakież demon je tu rzucił, by mnie skusić? Wyciągnąłem się na śniegu, opierając kark i głowę o pień. Zarzuciłem futrzany kaptur głębiej na twarz, splotłem ręce na piersi i zamknawszy oczy, skupiłem się na przebiegających przez głowę myślach. Musiałem je kontrolować, by nie poddać się zmęczeniu, jak uczył mnie Mistrz. Zamierzałem wstać, jak tylko zniknie poczucie chłodu, a do umysłu zakradną się zdradliwa błogość i senność...

Głosy. Z początku myślałem, że to wiatr, ale rozległy się znowu. Siadłem, zsuwając wyciszający je kaptur. Usłyszałem parsknięcie konia, stłumione przez padający śnieg.

– Panie, śnieżycy powraca – usłyszałem. – W pogodę jak ta nikt, komu życie drogie, na łokieć nie podejdzie do doliny! Zawróćmy...

– Nie wcześniej niż dotrzemy na przełęcz – drugi głos był stanowczy. – Czuję, że jest...

Głosy zbliżyły się na tyle, że usłyszałem głucho uderzenia kopyt o śnieg. Zerwałem się na równe nogi. Nim zdecydowałem, czy się ukryć, czy zaczekać, zza zakrętu wyjechało czterech jeźdźców.

Wyglądali na wojowników. Przewodził im dobrze zbudowany mężczyzna, w pancerzu z dopasowanych do kształtów ciała, łączonych skórą metalowych płyt. Nie była to jakaś tam zwykła zbroja, raczej jedna z tych robionych na zamówienie. Przypominał w niej rycerza. Zbroje pozostałej trójki były skórzane; jedynie na karku i brzuchu chronił jeźdźców metal. Ostatni z nich prowadził za uzdę piątę zwierzę – bez jeźdźca, ale osiodłane.

Nieznajomi dosiadali zupełnie innych wierzchowców niż te, które znałem. Ich rumaki były bardziej muskularne; w ich ciałach zdawała się drzemać siła, zdolna ponieść opancerzonego rycerza zarówno na środek pola walki, jak i w daleką wędrówkę, choć chyżością ustępowały zapewne swym kuzynom z północy. Ich rogi były nieprycinane, rozłożyste, leżały bliżej czaszki i nie sterczały na boki tak mocno jak u ich dzikich przodków.

Przybysze zauważyli mnie. Zatrzymali się. Wojownik w pancerzu przyglądał mi się chwilę, nim ścisnął kolanami wierzchowca. Zatrzymał go tuż przede mną, spoglądając z góry. Trzej towarzysze czekali w milczeniu.

– No proszę... Ktoś jednak ruszył na przełęcz, mimo śnieżycy.

Nie wiedząc, co robić, skłoniłem się niezdarnie. Widziałem wszak, że to ktoś znaczniejszy.

– Nie jesteś za młody na wędrownego barda, chłopcze? Właściwie... jesteś za młody na cokolwiek, włączając wspinaczkę tutaj, zwłaszcza o tej porze roku.

– Jestem tylko wędrowcem, panie... ale potrafię zadbać o siebie.

– Zważywszy, że stoisz przede mną, tu i teraz... Niezwykłe w twoim wieku. – Spojrzał na sterczącą nad moim prawym ramieniem głownię miecza, wetkniętego w przytroczony na plecach sajdak. – Nosisz broń... Umiesz się nią posłużyć?

– Dość, by się obronić.

Rycerz uśmiechnął się lekko i skinął głową.

– Sił natury orężem nie przemożesz, chłopcze. Zima to cichy, podstępny przeciwnik. – Jego wzrok spoczął na ugniecionym śniegu, gdzie odpoczywałem chwilę temu. – Nie powinienes się zatrzymywać. Nie powinienes nawet wyruszać w drogę, ani w taką pogodę, ani w twoim wieku.

– Śnieg zaskoczył mnie w drodze do Krontorii, panie. Poblądziłem i... – Wzruszyłem ramionami. – Ale pogoda się poprawia, więc... – Umilkłem.

– Do wieczora przyjdzie nowa fala śniegu. Jeśli pożyjesz w górach dość długo, sam zaczniesz wyczuwać takie zmiany. Krontoria leży kawał drogi stąd, ale dobrze trafiłeś. Są tu dwie wioski, lecz chciałbym, byś zatrzymał się w moim zamku. Jestem Kregnor, pan tej doliny.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Nie było w zwyczaju możnych panów zapraszać nieznajomych włóczęgów na zamek. I jeszcze ten koń... Spojrzałem na osiodłanego rumaka.

– W zimie moi ludzie biorą ze sobą dodatkowe zwierzę. – Kregnor odgadł, co mnie tak zainteresowało. – Na wszelki wypadek. O tej porze roku, w takim śniegu, koń nie pojedzie daleko z dwójką jeźdźców.

Nie potrzebowałem czasu do namysłu. Krontoria leżała o wiele dni drogi stąd, tego byłem pewien. Poza tym miastem w okolicy nie było nawet większych osad. Musiałem tu zostać aż do wiosny – co za różnica, czy w wiosce, czy na zamku? Konia z rzędem temu, kto przewidzi, jak možny władca zareaguje na odmowę...

– To dla mnie zaszczyt. – Skłoniłem się.

Towarzysze Kregnora pomogli mi dosiąść rumaka – a dokładniej: bez ceregieli wepchnęli na siodło. Ledwo zdążyłem dobrze się usadowić, gdy ruszyliśmy drogą ku dolinie po wciąż wyraźnych śladach. Kregnor przyzywał mnie gestem, bym jechał obok. Wojownicy trzymali się z tyłu.

Wkrótce dotarliśmy do rozwidlenia. Prawa odnoga szła w dół; lewa wiodła wzdłuż zbocza. Choć przyprószona śniegiem, wiodąca tam linia dołków po kopytach wciąż była dobrze widoczna. Pojechaliśmy wzdłuż niej.

– Droga po prawej idzie do wioski na dnie doliny – wyjaśnił Kregnor. – To kilka wierst dalej. Stamtąd prowadzi do drugiej osady, na zboczu. Mam tam małą kopalnię. Pracuje w niej kilku krasnoludów.

– Nigdy nie spotkałem krasnoluda... – pomyślałem na głos.

– Może tej zimy będziesz miał okazję. Zarządzają wydobyciem. Jesteśmy samowystarczalni, z konieczności. Rzadko kto nas odwiedza. Kupcy prawie wcale. Nie ma tu bogactw, więc nie mają po co przyjeżdżać.

– Dlaczego wasz zamek nie stoi przy wiosce, panie?

– Bo tędy wiedzie jedyna droga na zewnątrz. Jedyna, którą można przebyć konno. – Kregnor zatoczył niewielki łuk ręką, wskazując strome górskie szczyty. Spacer po takich graniach przysporzyłby chluby nawet kozicy, co dopiero człowiekowi. – Wspinaczka niełatwa, nawet latem. Zimą wręcz niemożliwa. Trudno tu trafić.

Nie spojrzał na mnie. Nie widziałem jego twarzy, ale odgadłem, co naprawdę chciał powiedzieć – że trudno tu trafić przez przypadek. Zmiał trzymane oburącz ramię od uprzęży, jakby namyślając się, czy warto ciągnąć tę myśl. Wybrał milczenie.

Jego towarzysze jechali tuż za nami, bez choćby jednego słowa. Dolina sprawiała wrażenie miejsca spokojnego, na uboczu wojen i historii. Wtedy nietrudno mi było uwierzyć w istnienie takiego miejsca.

Droga wspiwała się powoli na zbocze. Wyjechaliśmy zza linii drzew – i wtedy to zobaczyłem. Kamienna budowla wznosiła się nad korony, niczym przedłużenie ostańca wysuniętego ze zbocza ku przełęczy. Zamek Kregnora był pierwszą taką konstrukcją, jaką ujrzałem. Nic dziwnego, że zdał mi się ogromną fortecą.

Wrota zamku zostawiono otwarte, lecz krata w bramie była opuszczona. Uniesiono ją dopiero wtedy, kiedy się zbliżyliśmy, i zamknięto, gdy tylko znaleźliśmy się po drugiej stronie. Nim to się stało, odwróciłem się, próbując odszukać miejsce spotkania z Kregnorem, lecz okolice przełęczy przesłaniało zbocze. Dziwiłem się, że nie zauważyłem zamku gdzieś po drodze, choćby z rozwidlenia dróg. Tym ciekawsze było odkrycie – dokonane, gdy jechałem przez plac przed zamkową bramą – że dało się stąd obserwować całą drogę prowadzącą na przełęcz, niemal do zakrętu przed siodłem.

Rosnące pod nami drzewa, oraz sam kształt zamku, wydawały się specjalnie stworzone, aby jak najlepiej ukryć go przed obcym wzrokiem, zwłaszcza przed wędrowcami zmierzającymi drogą. Forteca składała się z niewielkiej bramy, niezbyt wysokiej wieży, małego dziedzińca ze stajnią dla kilku koni oraz rozbudowanej trzypiętrowej części mieszkalnej. Tym, co czyniło tę warownię wyjątkową, były mury – potężne, wręcz niepotrzebnie wysokie, jak na rozmiary całej budowli.

Ludzie na bramie nie byli wojownikami, choć wyglądali na przejętych swymi obowiązkami. Dziwnie na nas patrzyli przez zbitą z desek kratę podłogi, gdy przejeżdżaliśmy pod nimi. Jakby z obawą... lecz starczyło jedno spojrzenie władcy, by pośpiesznie odwrócili głowy.

Zsiedliśmy z koni. Kilku ludzi natychmiast zajęło się zwierzętami. Idąc za Kregnorem, przeszedłem główne wejście do części mieszkalnej. Znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu. Kilka skrzyń, stos futer... W głąb zamku prowadziło troje drzwi, każde na innej ścianie. Wzdłuż prawej ściany kamienne schody szły w górę.

– Wkrótce spotkamy się ponownie – zapowiedział Kregnor, wskazując schody. – Moi ludzie zaprowadzą cię do komnaty.

Zdjął skórzane rękawice, rzucił je niedbale na stojącą przy wejściu skrzynię i wraz z jednym z wojów znikł za drzwiami naprzeciwko. Pozostali stanęli obok, czekając, aż zdejmę przemoknięte od śniegu futro. W milczeniu weszliśmy po schodach.

Kończyły się niedługim korytarzem, z dużym oknem na końcu. Po obu stronach znajdowały się drzwi. Przewodnicy wskazali te po lewej.

Komnata była niewielka i dobrze nagrzana, przytulna, na ile to możliwe w przypadku pomieszczenia z gołego kamienia. Pod małym, zakratowanym okienkiem stało niewielkie łóżko. Lampka oliwna huśtała się ledwie dostrzegalnie na zwieszających się z sufitu długich łańcuszkach. Na wypadek gdyby jej światło nie starczało, na półce, nad zbudowanym po prawej stronie kominkiem, czekał niewysoki świecznik z parą świec.

Pod ścianą po lewej znajdowały się dwa puste kufry. Na jednym stał dzban z wodą, na drugim talerz z pieczywem. Poślanie z futer aż się prosiło, by zrobić z niego użytek... Wszystko świadczyło, iż Kregnor czekał na kogoś, zanim jeszcze nim sam dotarł na przełęcz. Nie zauważyłem, by w jakikolwiek sposób, za pomocą magii czy tresowanego zwierzaka, wysłał służbie wiadomość o napotkanym gościu, ale zaraz przypomniałem sobie widok z zamku na drogę. Ktoś mógł zobaczyć, że jeźdźców jest więcej, niż wyruszyło. Tylko ten piąty koń...

Wojownicy odeszli, gdy tylko wszedłem do środka. Rano nawet nie marzyłem o ogrzaniu się przy ogniu, a teraz... Domknąłem drzwi, by bijące z rozpalonego kominka ciepło nie uchodziło na chłodny korytarz. Postąłem chwilę przy płomieniach, zacierając ręce.

Okno wychodziło na dolinę. Klęknąłem na posłaniu, opierając dłonie na futrynie i wyjrzałem na zewnątrz. Zamek górował nad lasem; widok stąd musiał być niesamowity, lecz przez mróz na szybach ledwo dostrzegałem wierzchołki najbliższych drzew.

„Skrywaj swe wady równie starannie, jak przewagi”. Przez wiele kolejnych dni rozważałem znaczenie tych słów. Czemu Mistrz nie napisał – zalety? Pewnie chodziło o kolczugę. Droga rzecz, która mogła ochronić albo... doprowadzić do śmierci.

Skusić nawet władcę takiej doliny. Czy Mistrz mógł mieć na myśli to, co mnie spotkało?

Kregnor dobrze przewidział zmianę pogody. Wkrótce za oknem widziałem już tylko ścianę bieli. Czas mijał, lecz nikt nawet nie zajrzał do komnaty, jakby wszyscy o mnie zapomnieli. Byłem pewien, że władca, nawet na tak niewielkich włościach, ma dość spraw na głowie, by na chwilę zapomnieć o swym gościu. Któryż jednak chłopiec usiedzi długo sam w zamkniętym pomieszczeniu?

Uchyliłem drzwi i wyjrzałem na korytarz, stając twarzą w twarz ze strzegącym ich wojownikiem. Nie widziałem go wcześniej. Wyglądał, jakby stał tu już od jakiegoś czasu.

– Mój pan życzy sobie, byś zaczekał, aż znajdzie czas, by cię odwiedzić – powiedział.

Patrzył beznamiętnie, jak służba ma we zwyczaju, lecz w głosie wyczułem stanowczość. I ten jego język, sposób, w jaki mówił... Na pewno nie był chłopem ze wsi. Ani bandytą.

– Ja tylko...

– Zjawi się wkrótce, gdy skończy przygotowania.

Zamknąłem drzwi. Najwyraźniej „pan” nie życzył sobie, by nieznajomi chodzili po jego zamku. Minęła dobra chwila, nim uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od spotkania odezwał się do mnie ktoś poza Kregnorem.

Mijały saratusy, lecz nic się nie zmieniło. W taką pogodę, a tym bardziej przez takie okno, i tak nie szło dojrzeć mniejszego z dwóch księżyców, ale każdy wędrowiec szybko wyrabia w sobie wycucie czasu mierzonego jego wschodem i zachodem. W końcu zapadł wieczór. Ponownie wyjrzałem na korytarz. Po raz kolejny strażnik

kazał mi czekać. Moja niecierpliwość została jednak dostrzeżona. Niedługo później, gdy wyglądałem przez okno, usłyszałem skrzypnięcie.

Spojrzałem za siebie. Kregnor zamknął drzwi i nieśpiesznie usiadł na jednym z kufrów. Przelotnie spojrzał na ledwie ruszony posiłek – jakoś nie miałem ochoty go dokończyć. Odwróciłem się i usiadłem na krawędzi łóżka.

– Mam nadzieję, że nie odniosłeś mylnego wrażenia co do tego miejsca – rzekł pan zamku. – Nie posiadam bogactw ni wielkiego dworu, jednak obowiązują tu pewne zasady.

– Panie... Chciałem tylko... Jeśli to nie sprawi kłopotu...

– Wiem. Młodość... Chciałbyś obejrzeć zamek. Być gdziekolwiek, byle nie w jednej i tej samej komnacie... Ale nie mogę pozwolić ci chodzić, gdzie zechcesz. Może jutro. Jeśli sam nie znajdę czasu, przyślę kogoś. Proszę, uszanuj moją gościnę. Odpocznij. Po dobrym śnie wszystko wyda ci się lepsze.

Kiwnąłem głową. Powinienem się cieszyć, że miałem schronienie. Całkiem możliwe, że gdyby nie on, zamarzłbym na przełęczy. Nawet dziś nie jestem pewien, co by się stało, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. A może niczego by to nie zmieniło?

Kregnor wstał. Podeszedł do drzwi, lecz odwrócił się, jakby coś sobie przypominał.

– Nie traktuj strażników jak wrogów – powiedział. – Pilnują komnaty, ale gdybyś czegoś potrzebował, mogą wezwać służbę.

Wyszedł. Nie zamknął drzwi na zamek, ale dla mnie nie stanowiło to różnicy.

Zacząłem rozmyślać. Korzyści, jakie czerpałem z zaproszenia, były oczywiste. Ale co miał z tego Kregnor? Nie wydawał się posiadać wielkich bogactw; dodatkowa osoba zimująca na zamku na pewno nie byłaby problemem, ale jednak... Wieści lub rozrywka, pomyślałem zaraz. Raczej wieści. Dotarcie do najbliższej wioski poza doliną to długa piesza wyprawa; kilkudniowa, czasem dziesiędnicowa – dziesięć dni

marszu w dzień i odpoczynku w nocy. Ludzie znają tu każdą osobę w promieniu kilkunastu stająg, jeśli nie osobiście, to ze słyszenia. Drogi, o ile w ogóle są, to słabo uczęszczane, często nieprzejezdne dla wozów ścieżki. Nie ma komu budować szerokich traktów, bo i cóż nabyłby od kupca przeciętny góral? I czym by zapłacił? Potrzebne rzeczy wytwarzał sam lub wymieniał się z żyjącym w sąsiedniej osadzie kowalem. Od zakupów były jarmarki w miastach. O przekazywaniu wieści za pomocą magii też nikt tu nie słyszał. Tu i ówdzie trzymano tresowane kruki lub nietoperze, ale zwierzęta nie mówią, a pisać, czy choćby czytać, potrafi niewielu. W Górach, rojących się od mniejszych i większych królestw oraz niepodległych dolin, zainteresowany nowinami człowiek sam musiał zadbać, by dotarły one do jego uszu. Wieści, tak dla górali, jak lokalnych panów, roznosili przygodni piesi kramarze lub wędrowcy. Jak ja.

Świat, ten z opowieści Mistrza, wydawał się miejscem niebezpiecznym, ale i fascynującym, pełnym cudów. Każdy władca, żyjąc na takim odludziu, byłby ciekaw nowin. Nawet prosta informacja o tym, co się dzieje kilka dolin dalej, była ważniejsza od wielkich, ale odległych wojen. Czy okoliczni władcy nie myślą o nowych podbojach? Czy panuje urodzaj? Czy w razie głodu opłaci się wysłać chłopów po zboże? Czy może w mieście panuje plaga? Wprawdzie z tego, co ostatnio słyszałem od Mistrza, w większej części znanego Świata panował spokój, ale sam nazywał go ciszą przed silną burzą.

Uspokoilem się. Czego się miałem obawiać? Przebyte stajania i noce spędzone w napotkanych jaskiniach dały o sobie znać. Rozebrałem się i wsunąłem pod miętko wyprawione futra. Rychło usnąłem, bezpieczny od śnieżyc i mrozu.

Obudziłem się z przeczuciem, że coś się zmieniło. Rychło przekonałem się, że to było coś więcej niż wrażenie. Moje rzeczy zostały przeszukane! Znikły miecz, kolczuga, łuk i kilka ostatnich już strzał.

Zezłościłem się. Mistrz ostrzegał, bym nie rozstawał się z bronią, zwłaszcza w nieznanych miejscach. A niech demony tańczą sobie z łukiem! To strata miecza bolała najbardziej. Broń, która za sprawą magii nie tępiła się ani nie łamała w najgorszej bitwie, nie była niczym niezwykłym, choć swoje kosztowała; jednak Mistrz twierdził, że oręż ten jest wyjątkowy i powinienem szczególnie na niego uważać. Nie zdradził jednak dlaczego.

Drzwi pozostały niezaryglowane, ale na zewnątrz czekało już dwóch strażników.

– Ktoś zabrał mi mój miecz – oświadczyłem stanowczo. – Muszę go mieć z powrotem!

– Polecenie naszego pana – usłyszałem. – Nikt na zamku nie nosi broni.

Popatrzyłem na nich, zdumiony tym, że wcześniej tego nie dostrzegłem. Nie kłamali. Uprzytomniłem sobie, iż w rzeczy samej widziałem tu tylko jeden miecz – wielki, dwuręczny, przytroczony do siodła wierzchowca Kregnora. Nawet jego towarzysze na przełęczy nie byli uzbrojeni.

– Mimo to chciałbym go odzyskać – odpowiedziałem już spokojniej. – To pamiętka...

– Nasz pan uprzedził, że sobie tego zażyczysz. Gdy przyjdzie, możesz go poprosić o zwrot, ale winieneś liczyć się z odmową.

Spojrzeli na mnie dziwnie. Mogłem albo wrócić do komnaty, albo spróbować przemknąć między nimi i pobiegać po nieznanym zamku, ścigany przez bandę wojowników. Wybrałem to pierwsze.

Byłem wściekły. Kregnor musiał być głupi, jeśli widział we mnie zagrożenie, z bronią czy bez! Bez ogródek dawał do zrozumienia, że wątpi w moje umiejętności.

Całkiem słusznie, o czym nieraz przekonały mnie niezliczone i zawsze przegrywane pojedynki z Mistrzem.

Byłem ciekaw, czym pan zamku wytłumaczy swoją decyzję.

Kregnor zjawił się pół saratusa później, w towarzystwie wojownika z przełęczy. Gdy wszedł do komnaty, wojownik ów zamknął drzwi od środka i stanął tuż przy nich.

– Doszły mnie słuchy, że nie podobają ci się moje zasady. Nie czujesz się tu bezpiecznie?

Zmieszałem się. Moje zachowanie zdało mi się niegrzeczne i niewdzięczne, ale on nie postąpił lepiej! Winien wpierw sprawę objaśnić, zamiast zabierać cudze rzeczy, i to po kryjomu!

– Nie czuję się zagrożony, panie – odparłem. – Ta broń jest dla mnie czymś więcej niżli orężem. Wolałbym mieć ją przy sobie.

Kregnor powolnym krokiem podszedł do łóżka i spojrzał przez okno. Pochylił się lekko, jakby dostrzegł coś na zewnątrz. Wpatrywał się w to coś przez dłuższą chwilę. Wyprostował się, ale nie odwrócił.

– Czy wiesz, dlaczego tu jesteś?

Dziwne pytanie.

– Tak jak powiedziałem, panie, zablądziłem...

Nie odpowiedział od razu, jakby czekał na coś, co nie miało ze mną nic wspólnego.

– Kazałem wznieść zamek po tym, jak zaprowadziłem tu porządek – odezwał się po chwili milczenia. – Kiedyś dolina była siedzibą bandytów; teraz ludzie pracują w spokoju, pewni owoców swojej pracy. Kiedyś... – spojrzał na mnie przez ramię – każdy mógł polegać tylko na sobie. By przetrwać, musiałem walczyć. Musiałem zabijać, inaczej sam bym zginął. Byłem silny. Ludzie poszli za mną, bo byli zmę-

czeni takim życiem. Zamiast rabować, rozkazałem budować chaty i uprawiać ziemię. Ustanowiłem prawa.

A teraz tak traktuje podróżnych?

– Po co mi to mówisz, panie?

– Byś wiedział, czym było to miejsce, byś lepiej je zrozumiał i pojął, dlaczego tu trafiłeś. Nie wszystko zależy od nas, nawet jeśli nas dotyczy. Różne... rzeczy... każą postępować inaczej, niż byśmy chcieli. Odkryjesz to z czasem, jak inni...

Ramiona mu opadły, niczym ugięte ciężarem. Westchnął, jakby nagle coś go zmęczyło.

– Więc to, że tu jestem...? – nie rozumiałem.

– Może jakieś rzeczy dzieją się na Świecie przez przypadek, ale twoje przybycie do nich nie należy. Zostałem poinformowany, że się tu zjawisz.

– Przez kogo?

Nie odpowiedział. Wciąż czekał, zdało mi się, że z rezygnacją, na coś, co miało nadejść, bez względu na to, czy chce tego, czy nie.

– Zostaniesz tu całą zimę. Będziesz miał dość czasu...

– Chcę ruszyć do wsi – przerwałem. To wszystko przestało mi się podobać. – Zostanę tam, aż...

– Zrobię z tobą, co zechcę, nieważne, czy będziesz na zamku, czy w którejś z wiosek.

– Muszę odrzucić gościnę, jeśli oznacza więzienie! – odpowiedziałem stanowczo.

– Już bez „panie”? Więc koniec z dobrymi manierami... – Wyprostował się i odwrócił. – Chcesz odejść? Gdzie? Na przełęczu śniegu po pachy. Spróbuj wspiąć się na zbocza, a szybko zginiesz. Dolina jest odcięta od świata! Zostaniesz tutaj dla własnego dobra. Kto raz się zgodzi tu wejść, nie opuszcza zamku... Póki ja nie zdecyduję inaczej.

– Co z prawem gościnności...? – Poczerwieniałem z gniewu.

– Ja jestem tu prawem, to chyba oczywiste. Żadnemu z okolicznych władców nawet przez myśl nie przeszłoby śłać swe wojsko przez kilka bezludnych dolin, by podbić to nic niewarte miejsce. Nie bez powodu bandyci mieli się tu dobrze przez dziesiątki lat. W tym zakątku gór możesz mnie traktować jak samego cesarza. Moja wola jest tu tak samo ostateczna jak jego na zachód od Gór.

Coś się w nim zmieniło, choć nie dostrzegałem przyczyny. Mówił spokojnie, lecz stanowczo, nie przyjmując sprzeciwu. Mogłem się wściekać, ale niczego bym nie zmienił.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego mam tu zostać?

– Masz w sobie coś, co każe mi cię zatrzymać. Coś interesującego... Możesz okazać się cennym gościem. Oczywiście mogę się mylić. Wtedy... – Wbił we mnie swoje spojrzenie. Zadrżałem, widząc jego oczy, drapieżne i rozbiegane. – Nie, nie pozwolę ci stąd odejść, ale mógłbyś swobodnie poruszać się po dolinie. Tak... to możliwe! Cała dolina to więzienie. Jednak to zależy od ciebie. Co jesteś gotów zrobić, aby opuścić zamek?

Kłamał, widziałem to w jego zachowaniu, ale nie miałem wyboru. Mogłem albo się zgodzić, albo czekać, aż mnie zmusi... Do czego?

– Co mam zrobić? – spytałem.

Zamruczał niczym wielki kot.

– Przetrwać – odparł dziwnie spokojnie. Nerwowość gdzieś z niego uszła.

Ruszył powoli do drzwi, lecz nim wyszedł, odwrócił się do mnie.

– Mówiłeś, że potrafisz się bronić. Zobaczmy, jak dobrze.

Kregnor odszedł. Jego wojak wyprowadził mnie na korytarz. Wraz z drugim strażnikiem zataszczyli mnie niczym worek zboża do wykutych pod zamkiem piwnic. Były ogromne, o wiele większe niż twierdza – i wyglądały na znacznie starsze.

Zostałem wypchnięty do okrągłej, wysypanej piaskiem komnaty. Wysoka na pięć sięgów, o średnicy dziesięciu, zwężała się ku górze w rodzaj kopuły, której żebrowane sklepienie dźwigało osiem kolumn na planie koła. Trzy sięgi nade mną biegł taras, zbyt wysoko, by ktokolwiek mógł tam doskoczyć; mrok rozpraszały zatknięte poniżej pochodnie. W ich blasku obojętnie spoglądali na mnie z góry trzej łucznicy, niedbale trzymając gotowe do użycia łuki. Kregnor już czekał, rozparty w łoży wykutej we wnęce tarasu. Pochodnie tak ustawiono, że choć skrywał go cień, widział wszystko, co się działo.

Z dołu były tylko dwa wyjścia – jedno miałem za plecami, drugie przed sobą, oba zamknięte solidnymi wrotami. Chwilę wcześniej, zanim zatrzęsnięto te z tyłu, coś upadło na piasek. Odwróciłem się. Mój miecz! Podniosłem go szybko.

– Jest tylko jedna reguła – głos Kregnora był niezwykle wyraźny, jakby stał obok mnie – albo ty zabijesz przeciwnika, albo on ciebie. To nie jest pozorowana walka. To dzieje się naprawdę.

Przez przeciwną wrotą wyrzucono na arenę jakiegoś młodzieńca. Kilka lat starszy ode mnie, wystraszony i wynędzniały. Nie byłem tu jedynym więźniem... Uniósł się na łokciach i spojrzał z rozpaczą na zamknięte już drzwi. Zerwał się na nogi, chwytając rzucony mu miecz. Rozejrzał się po pomieszczeniu niczym zwierzę w pułapce, lecz cały czas był pochylony, gotowy do odskoku. Miał pewne doświadczenie w walce, ale nie wyglądał na wojownika.

Chwilę potem patrzył już na mnie, zastygły w bezruchu. Uspokoił się, wyprostował, najwyraźniej odzyskał rezon. Był wyższy, zapewne silniejszy i, kto wie, może zdążył już kogoś zabić. Jego oczy lśniły charakterystycznym blaskiem pewności, iż z nas dwóch to on wyjdzie stąd na własnych nogach. Wszystko wskazywało, że jego wiara była uzasadniona.

– Oczekuję prawdziwego pojedynku – ostrzegł pan zamku. – Jeśli się zawiodę, moi ludzie sami zdecydują, kto ocaleje, a kogo wyniosą. Dla nich to nie pierwszozna.

Chłopak i ja znajdowaliśmy się wciąż po przeciwnych stronach areny. Nie spuszczaaliśmy z siebie wzroku, ale odruchowo rzuciliśmy krótkie spojrzenie w górę, na taras. Łucznicy obserwowali nas spokojnie, czekając na znak od swojego władcy.

Powoli okrążaliśmy salę, próbując wyczuć nieprzyjaciela, czekając, aż ten drugi uczyni pierwszy krok. Bałem się, serce biło jak szalone, ale szkolenie Mistrza pomogło mi wziąć się w garść. Baczyłem na ruchy wroga, gotów zareagować na jego posunięcie.

Byłem zbyt młody, aby liczyć na siłę. Dobrze władałem bronią, ale potrzebowałem do tego obu rąk. Przeciwnik, choć osłabiony, wciąż miał dość krzepy, by brutalnością wyrównać wszelkie braki w sztuce fechtunku. Mogłem zapomnieć o parowaniu. Postawiłem na szybkość i zwinność – jedyną przewagę dziecka.

Zadufanie skłoniło młodzieńca do rozpoczęcia walki. Rzucił się na mnie z histerycznie radosnym wrzaskiem. Uniki, odskoki – to była moja obrona. Nic trudnego, zważywszy, że machał mieczem niczym kilofem lub łopatą. Robiłem wszystko, by nie skrzyżować z nim broni, ale odskakując, zawsze próbowałem go trafić. Rychło mieliśmy za sobą kilka prób ataku. Przeciwnik niezmiennie wierzył w swoją siłę, ale zrozumiał, że wykorzystanie tej przewagi nie przyjdzie mu z łatwością. Już nie był tak pewny siebie.

Podczas treningów z Mistrzem zauważyłem, że tracił on więcej siły na zamachy niż ja na odskok czy unik, a był wszak lepszym szermierzem od tego młokosa. Dostrzeżenie możliwości zwycięstwa dodało mi odwagi; skoro przeciwnik nie był na tyle roztargniony, by dostrzec moje zamiary, wystarczyło pozwolić mu zmęczyć się nadużywaniem własnej siły. Jednak zamiast wybrać łatwą drogę, postanowiłem wykorzystać wymyśloną przez siebie zagrywkę, którą wypróbowałem kiedyś na Mistrzu. Za pierwszym razem wyszła fatalnie, ale Mistrzowi pomysł spodobał się na tyle, że kazał mi ćwiczyć tak długo, aż zacząłem wykonywać ją płynnie i bezbłędnie.

Dziś sędzę, że chciał mi raczej wybić z głowy głupie sztuczki, niż wypracować tę jedną, ale...

Wyczekałem na moment, gdy przeciwnik weźmie mocny zamach. Od tej chwili cała reszta była kwestią automatycznego wykonania utrwalonej w nerwach i mięśniach sekwencji. Zgiąłem kolana, uchylając się przed ciosem. Trzymany oburącz miecz przyłożyłem płazem do prawego policzka i rzuciłem się prosto pod nogi chłopaka, mierząc tak, by upaść na prawy bark i przeturlać się pod nim. Kiedy ruszyłem, miecz wroga jeszcze się nie zatrzymał. Musiał coś zrobić, aby zachować równowagę. Musiał odskoczyć.

Gdyby młokos miał doświadczenie, znalazłbym się w kłopotach. Inteligentniejszy przeciwnik dałby się zapewne przewrócić, byleby mnie pochwycić i wykorzystać przewagę siły. Mógłby mnie nawet nabić na ostrze, ale nie wierzyłem, że młodzieniec jest na tyle doświadczony, by opanować wrodzony odruch.

Miałem rację.

Gdy odskoczył, wykonałem obrót, wysuwając w bok zgiętą w kolanie prawą nogę. Zaparłem się stopą o piach i zatrzymałem, gotów, by korzystając z podgięcia lewej nogi, uklęknąć i uderzyć, zanim przeciwnik się odwróci. Ciąłem z całych sił, szerokim łukiem. Moja pozycja nie była dość stabilna; ciężar miecza pociągnął mnie za sobą, przewróciłem się, lecz trafiłem – ostrze weszło głęboko w nogę przeciwnika, z tyłu lewego uda, tuż za kolanem.

Zerwałem się, gotowy do odskoku, ale nie było takiej potrzeby. Młodzieniec klęczał na piachu. Nie był wojownikiem, tylko zwykłym chłopcem, tak jak ja, zmuszonym do grania w tę grę. Pokonałem go! Czułem, jakby sam Fihg, bóg wojny i wojowników, udzielił mi swojej łaski i pokierował moimi ruchami.

Odszedłem na bok, mając oko na przeciwnika, drżąc od napięcia i wysiłku, dziwnego podniecenia i uniesienia walką. Strach? Nie pamiętałem, co to takiego. Słabość nie istniała. Nigdy tak się nie czułem. Spojrzałem w kierunku łoży. Kregnor

oparł brodę na prawej ręce, patrząc na mnie z cienia. Siedział na swojej ozdobnej ławie, ni gestem, ni postawą nie zdradzając, że nie przygląda się pieśniarskiemu pojedynkowi bardów, lecz walce na śmierć i życie. Tylko jego błyszczące, zimne oczy mówiły, że zobaczył to, czego chciał. Aż ciarki przeszły mi po plecach...

Wyprostowałem się i wskazałem na klęczącego młodzieńca.

– Przetrwałem! – zawołałem. – Musisz pozwolić mi odejść...

– Tak myślisz? – Jego głos był zimny, twardy i spokojny. – Jedynie przeżyłeś! Aby przetrwać, musisz zabijać swoich wrogów! Bez tego nie będziesz nawet zwycięzcą, jedynie uciekinierem, drżącym na samą myśl, że pewnego dnia ocalony przeciwnik wróci, by wbić ci nóż w plecy. Ale moi ludzie wiedzą, jak wybierać!

Spojrzałem na taras. Łucznicy pewniej ścisnęli broń, czekając.

– Nigdy nie mówię, co mają zrobić. Każdy sam wybiera kto, wedle jego uznania, jest wyznaczony śmierci. Nie zawsze wszyscy wybierają tę samą osobę. Znam mnie jednak na tyle, by wybrać... właściwie.

– Według jakich reguł?!

– Reguł chęci przetrwania, oczywiście. – Udał zamyślenie. – Hmm... Jak myślisz, kto dziś stąd odejdzie? Szlachetny wojownik, odmawiający zabicia wroga? Czy jego oponent, który ryzykuje wszystko, do końca, byle prawdziwie przetrwać? Czyje życie jest odpowiedzią na to pytanie? Twoje? Jego? Was obu?

Zimny dreszcz zamienił się w obejmujący całe ciało chłód. Uczucie triumfu i bycia niezwyciężonym gdzieś odeszły. Rozejrzałem się. Przeciwnik, wykrzywiony grymasem bólu, przyklęknął na ranną nogę, przyjmując postawę obronną. Piasek wokół kolana lśnił czerwienią. Chłopak twardo ścisnął miecz w dłoni, choć musiał wiedzieć, że upływ krwi wkrótce go osłabi.

Cicho zabrzączała nieopatrnie trącona cięciwa. Spojrzałem na taras. Łucznicy w milczeniu nieśpiesznie sięgnęli po strzały. Żaden nie patrzył na pozostałych. Wszyscy patrzyli na mnie. Poczułem nagłą słabość.

– Właśnie tak! – Kregnor dostrzegł zrozumienie w moich oczach. – Tylko ten, kto nie waha się przetrwać, jest wart życia! Chłopca można wyleczyć. Dojdzie do siebie, stając się prawdziwym zwycięzcą, nie dlatego że wygrał, ale dzięki woli przetrwania. On by się nie wahał. Nieraz widziałem, jak okulawieni w walce wojownicy zabijali raniących ich wrogów...

– Nie tu! Nie teraz! – Cofnąłem się o krok. – Nie jesteśmy wojownikami!

Wiedziałem, czego oczekuje, ale nie byłem mordercą. To nie musiało się tak skończyć, ale... on tego chciał. Prawie czułem wbijające się w ciało trzy strzały.

– Nieważne, kim jesteś teraz – słyszałem jak przez mgłę. – Możesz spróbować oddalić od siebie ten moment, ale chwila taka jak ta będzie cierpliwie na ciebie czekać w przyszłości. Wybieraj. Dokonasz tego teraz albo odrzucisz na zawsze, za cenę życia. Masz czas, by zdecydować, ale zostało go niewiele. Później... oni wybiorą za ciebie.

Cóż mogłem zrobić? Strach był silniejszy niż opór przed zabiciem innego człowieka. Gdyby to się stało trakcie walki... Mógłbym to zaakceptować. Broniłbym się przecież. Teraz już nie musiałem; nie przed młodzieńcem, jedynie przed Kregnore. Ceną za życie było inne życie.

Uniosłem miecz i podszedłem do przeciwnika. Byłem zbyt przerażony, aby postąpić inaczej. Tego dnia mój dziecięcy płomyk zgasł na zawsze.

Wiele razy przeklinałem tę chwilę słabości. Nie zmieniła tego nawet późniejsza świadomość prawdziwej natury zdarzenia. Wtedy i tam wszystko było prawdziwe, aż do najmniejszego drgnięcia mięśnia, do każdej nieświadomionej myśli, każdej kropli potu i krwi. Szczęśliwie tego dnia znalazł się ktoś, kto nie pozwolił, bym zleciał w przepaść, gdzie spadają ci, którzy stracili opór przed zabijaniem. Zajrzałem w jej mroczną głębię, lecz on pociągnął mnie z powrotem i sprawił, że nie stała się częścią mnie.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Powieść fantasy, kryminał paranormalny

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

Jedwab i porcelana to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zmaga się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. *Biały tygrys i Niebieski smok* (nowe wersje) oraz *Czerwony ptak i Czarny żółw* (prapremiery).

Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, pugińców i handzarów, jęku cięciw, bająć mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanu Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewę Czambu... Wszędzie tam, bez zbytej rewe-

rencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

Znajda to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Marek Ścieszek: POLA ŚMIERCI

Na początku pola śmierci miały być tylko interesem, nieludzkim, bluźnierczym, ale prowadzącym do łatwego zarobku. W świecie fantasy w sprawy zwykłych ludzi lubią się jednak mieszać siły nadprzyrodzone. Przy czym nie sposób jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu przebiega granica porządku. Nic nie jest albo czarne, albo białe. W szarościach niknie pewność co do istoty zła. Zamęt, mroczna siła stojąca w opozycji do Natury, powołuje do życia Bestię, która dzieło ludzi postanawia kontynuować na własnych warunkach. Konflikt jest nieunikniony. Jaką rolę odegra w nim człowiek zamknięty w klatce? Po której stronie opowie się tajemniczy Zakon Rycerzy Smoka? A przede wszystkim kto w tym świecie zasługuje na miano prawdziwej bestii: dziecię Zamętu czy sam człowiek? Odpowiedzi należy szukać na bezkresnych Polach śmierci...

Romuald Pawlak: CZAREM I SMOKIEM

Nie ma nic gorszego niż bolesny brak profesjonalizmu. Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może tylko wylecieć z roboty u malarza Astrogoniusza i wpłatać się w kłopoty, które zaprowadzą go najpierw na dno statku, potem wydzwigną do pałacowych kajut, by znów stracić w piekielne otchłanie. Spotkane na drodze kobiety okażą się niebezpieczne, mężczyźni zechcą zabrać życie – i tylko spotkany w kolejnym więzieniu smok będzie rozumieć naszego maga.

Sojusz pogodnika ze smokiem zostanie zawarty w następujących celach: najeść się po uszy, mieć do spania wygodne łóżko, zdobywać piękne kobiety, zemścić się na Astrogoniuszu. Aha, i na podłym karle Garzfulu, który sprawił, że Rosselin został wygnany z pałacu. Jak z powyższego opisu widać, jest to śmiertelnie poważna opowieść o magii, smokach i trudach pracy zawodowej.

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. PIERWSZE SPOTKANIE

Podróż, przygoda, przyjaźń, poświęcenie.

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. MARTWY CHŁOPIEC

Walka, oddanie, przygoda, odpowiedzi.

W drugiej części cyklu powieściowego *Re-Horachte* powracają znani nam z *Pierwszego spotkania* bohaterowie. Wydaje się, że chłopcy zapomnieli o wydarzeniach sprzed roku, że wrócili do codzienności. Tymczasem młodych przyjaciół czeka kolejna niebezpieczna, pełna przygód i emocji podróż, przed nimi kolejne tajemnice do odkrycia.

Nieoczekiwanie podejmą się misji odnalezienia starożytnych artefaktów. W trakcie okaże się, że ich los jest nierozdzielnie związany z wydarzeniami z odległej przeszłości oraz tajemniczymi Dziećmi Stulecia, które według przepowiedni mają ocalić świat przed nieuchronnie nadciągającą zagładą. Będą pościgi, ucieczki, walki, trudne wybory i nieprzewidziane spotkania. Oraz... anioły.

A kim jest Martwy chłopiec? Koniecznie musisz się dowiedzieć!

Dariusz Kankowski: PŁACZ PRZODKÓW

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciemieni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantazy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż

przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieże zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY, cykl TEATR WĘŻY, tom 1

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cienia* oraz *W mocy wichru*.

Martyna Goszczycka: ODRODZENIE

Pierwszy tom Sagi Wizji Paradoksalnych

Jedynie poświęcenie prowadzi do odrodzenia.

Przedświat demonów i Zaświat nimf, barwne aury i Zwierciadła Duszy, boginie stworzone przez alchemika i bezduszne reguły Syndykatu Skrytobójców, Sny, które przerażają i fascynują zarazem. Oto świat, w którym dorasta młody demon Haru – uczy się, jak przeżyć i jak zabijać, walczy, by zostać uczniem okrutnej białowłosej. A może jest lub stanie się dla niej kimś więcej? Może on też czegoś nauczy piękną Plagę...

Odrodzenie to mroczna powieść fantasy, pełna przemocy, śmierci, scen walki, ale także kipiących emocji i rodzących się uczuć. Autorka to absolutna debiutantka, która bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w swój świat wyobraźni, ciekawie łącząc horror, fantasty i powieść z gatunku płaszcza i szpady.

Kontynuacja losów Haru i Plage w drugim tomie Sagi pod tytułem *Potępienie*.

Martyna Goszczycka: POTĘPIENIE

Drugi tom Sagi Wizji Paradoksalnych

Każdy dar może prowadzić do potępienia.

Plage znika z Przedświatu, Haru znowu zostaje porzucony. Jedyne, co albinoska mu po sobie zostawiła, to list, w którym wyjaśnia, czemu musiała odejść. Jasnowidz desperacko próbuje znaleźć sposób, by dotrzeć do białowłosej – co nie będzie, proste, bo wróciła do Zaświatu.

Jedyną nadzieją młodego demona jest Eliara, która zdaje się wiedzieć dużo więcej od niego. Jednak medyczka, mimo swojej przyjaznej natury, wcale nie jest skora do pomocy i uparcie unika Haru. Śledzenie Eliary i skłonienie jej do współpracy to dopiero początek problemów...

Haru czekają starcia z rusałkami, wilkołakiem, magiem...

A Plage czeka zatopiona w lodzie. Czy Haru zdoła do niej dotrzeć na czas?

Romuald Pawlak: RYCERZ BEZKONNY

Nie całkiem poważna fantasy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Oto dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy. Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

E. M. Thorhall: ZAMEK LAGHORTÓW, I tom cyklu ZBROJNI

Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu *Zbrojni* pod tytułem: *Zamek Laghortów*.

Młodziutka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnie, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten pochodzący z Vartheny surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobłażać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu...

E. M. Thorhall: HANDLARZE NIEWOLNIKÓW, II tom cyklu ZBROJNI

Ta powieść ekscytuje i niepokoi.

Jak potoczyły się dalsze losy dzielnych zwiadowców i ryzy Sir Eryka? Muszą mierzyć się z kolejnymi wyzwaniem losu czy wiodą spokojny i nudny żywot na zamku? Nuda na pewno nie czeka czytelnika. Tym razem autorka odważyła się na znacznie więcej niż spokojne opisy przyrody i okolic zamku, na śledzenie turniejów czy relacje z dworskich intryg. Dzieje się sporo. Na początek szarą zamkową codzienność ożywia duże i radosne wydarzenie, jakim są zaślubiny jednego ze zbrojnych. Co nie znaczy, że dalej będzie sielankowo.

Uzbrojona grupa handlarzy ludźmi napada świttem na jedną z wiosek należących do Sir Eryka. Na ratunek uprowadzonym wyrusza drużyna pod dowództwem Morhta. Czy i tym razem surowy Vartheńczyk poradzi sobie z każdą przeciwnością i niespodzianką? A może wręcz przeciwnie – może z jakiegoś powodu stchórzy i ucieknie? A Kyla? Co ta dziewczyna ma wspólnego z półumarłymi istotami? Jaką więź ją z nimi łączy? Okażą się sojusznikami czy wrogami?

Niespodziewane zwroty akcji, czarny humor, zbrojni, rozpustne dziewczyny, gildia łotrów, przemoc i gwałt, miłość i magia, barbarzyńcy i... dhampir. Co tu, na ciemnika, robi dhampir?

Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACEŃCY

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

SZABLĄ I WĄSEM. ANTOLOGIA OPOWIADAŃ SARMACKICH

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ogień i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH

Zbiór opowiadań ze świata powieści *Nadzieja czerwona jak śnieg*. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.